

Rafał Pokrywka

Via Alpina

## WIZERUNEK A LITERATURA (THOMAS GLAVINIC, MARLENE STREERUWITZ)

W tym roku najważniejszą niemiecką nagrodę literacką – Deutscher Buchpreis – otrzymał Frank Witzel za powieść *Wynalezienie Frakcji Czerwonej Armii przez maniakalno-depresyjnego nastolatka w lecie 1969*. Nagrody nie otrzymała Jenny Erpenbeck za, koniunkturalną zdaniem „Spiegla”, powieść o uchodźcach *Gehen, ging, gegangen*, ani tym bardziej Monique Schwitter, w *Eins im Andern* kreśląca obrazy miłości jednej kobiety do dwunastu mężczyzn, przy czym Matka Boska na okładce ma zapewne sugerować biblijny kontekst. Siłą rzeczy nagrody nie otrzymało także parę innych książek, jakie znalazły się na ogłoszonej we wrześniu *Shortlist*, o tych z *Longlist* już nie wspominając. Nie przekreśla to jednak szansy na ponadbranżowy rozgłos. Deutscher Buchpreis – mniej prestiżowa niż Nobel, lecz głośniejsza niż Nike – jest nagrodą medialną, przyznawaną autorom, których teksty mają szansę na dobre wyniki sprzedaży, prezentują przy tym przyzwoite wartości literackie i są w stanie resuscytować zamierzchłe marzenia o popularyzacji czytelnictwa. Nie jest to jednak wyróżnienie dla najlepszej książki, jak się powszechnie sądzi. To laur dla tworców rokujących medialnie, czy to tekstu, czy samego pisarza.

Runda pierwsza – książka musi zostać zaproponowana do nagrody. Najpierw trzeba ją wydać, lepiej w dużym wydawnictwie, choć nie jest to gwarancją sukcesu. Tekst jest rekomendowany przez samych wydawców, zgodnie ze zdroworozsądkową zasadą, że krytycy nie mają czasu czytać wszystkiego i że selekcji najlepiej dokonać między sobą, a przy okazji pozbawić się pretekstu do zarzutów o tendencyjności mediów. Jak rozwiązują to wydawnictwa, trudno powiedzieć, niewykluczone, że mają pracowników odpowiedzialnych za wyliczenie potencjału sprzedawalności książki i pisarza, kierują się przy tym pewnie doświadczeniami z lat minionych i analizami procedur przyznawania nagrody. Nie ulega bowiem wątpliwości, że gust jury jest do pewnego stopnia przewidywalny, że większą szansę na listę wyróżnionych, a co za tym idzie samą nagrodę, mają książki z ciekawym tłem historyczno-politycznym, że eksperyment formalny i językowy raczej nie popłaca (w tym roku popłacił – na tle historyczno-politycznym), że liczy się solidna proza, przede wszystkim powieść, powieść o epoce, o losie człowieka, dajmy na to – o losie małego człowieka na tle epoki, niechaj niesie ze sobą ważne pytania o przyszłość, ważne pytania o przeszłość, pamięć i zapomnianie, rodzinę i pokolenia, zmianę pokoleniową, żywotność pamięci, również tej niewygodnej, kompleks ojca, kompleks matki, marzenia o wol-

ności, niech będzie to poezja i tragizm życia szarych ludzi, doprawdy, lista życzeń jest równie długa i wyczerpująca, jak wiele z nominowanych dzieł. A jednak to wielki temat i historycy literatury powinni się zań kiedyś zabrać, gdy tylko wypracują narzędzia dostępne dzisiaj jedynie psychoanalitikom – w jakim stopniu produkcją tekstów steruje chęć zdobycia Nagrody.

Runda druga – członkowie jury czytają. A potem pojawia się *Longlist*, przedsiónek niebios. Jak czytają i czy głęboko czytają, to znów kwestia wielce mglista. Kim oni są? To krytycy, ale i bracia pisarze (czy znowu wytrącenie z ręki oręża zarzutu o tendencyjność?). To też ludzie kultury, niekoniecznie literackiej, prezentujący szeroki wachlarz zainteresowań, gustów i kompetencji. *Longlist* pojawia się w lecie, stanowi owoc pierwszych lektur jury, choć oczywiste jest, że dla wielu książek będą to lektury ostatnie. Faworyci i przegrani są już faworytami i przegranymi, to widać na starcie. Nalepki „*Longlist* Niemieckiej Nagrody Książkowej” pojawiają się na okładkach wybranych dzieł, z reguły w wydaniu drugim.

Runda trzecia – *Shortlist*. Nie wiadomo, czy książki są czytane jeszcze raz, w każdym razie wyłania się ich sześć – tych najbardziej adekwatnych, spełniających oczekiwania. Atmosfera robi się gorąca, gladiatorzy przytupują na ubitej ziemi, nalepki *Longlist* zmieniają się na *Shortlist*, ewentualnie się nie zmieniają, ewentualnie znikają.

Runda czwarta – przyznanie nagrody. Odbywa się to w październiku tuż przed Frankfurter Buchmesse (targi książki we Frankfurcie). Pisarz dostaje nagrodę, udziela wywiadów, siedzi na niebieskiej sofie i chcąc nie chcąc pozuje. Nagroda to wysoka kwota pieniężna. Dodatki do nagrody to sława, zwiększenie sprzedaży, być może lepszy wydawca, baczniejsza uwaga krytyki przy kolejnej premierze.

Runda piąta – jak z tym żyć? Z rozmysłem używam słów „runda”, „start”, „gladiator”, retoryki sportowo-wojennej, nie tylko dlatego że przypadki nagrodzonych pisarzy przypominają często historie wypalonych olimpijczyków. To jest język doniesień medialnych, jakim o samym sobie opowiada dziś przemysł księgarski w Niemczech. Coraz częściej podnoszoną kwestią, m. in. przez niezwykle popularnego Daniela Kehlmana czy nestora Petera Handkego (który odmówił przyjemności bycia nominowanym do nagrody), jest kontekst narzucony autorowi przez wyróżnienie oraz dalsze, zwykle niezdrowe konsekwencje rozgłosu. Sukcesowi trzeba sprostać, medialny ołtarz domaga się ofiary z prywatności, szczerości oraz (jeżeli pisarz jeszcze takową posiadał), niewinności. Wydaje się, że najtrudniejsze jest ujrzeć siebie w centrum zainteresowania, niewygodna jest świadomość tego, co robi ze mną i z moim tekstem wielki przemysł wydawniczy. Nie wiem tego jednak z doświadczenia, przeczytałem o tym. Dwie istotne austriackie książki z ostatnich lat zajęły się bowiem losem pisarza ukaranego Nagrodą.

Pisarz Thomas Glavinic bardzo chciałby ją dostać, bardzo. Kilka razy był blisko, parę tytułów wzbudziło emocje, choć wyżej niż *Longlist* nie wylądowały. Jako jedyny wpadł na pomysł, by napisać powieść o autorze Thomasie Glavinicu, który bardzo chce otrzymać Nagrodę, i jest to dowód, że ma pomysł na pisanie. Takich

dowodów zebrałoby się jeszcze kilka, jednak nie o jakości artystycznej ma tu być mowa, lecz o wizerunku, a bardziej nastawionej na kreowanie wizerunku powieści niż *Das bin doch ich (To przecież ja)* nie ma w całej literaturze języka niemieckiego. Bezwstydnosc i nachalność przekazu Glavinica każą myśleć o najniższych instynktach kultury popularnej. Jego twarz na okładce wydania w monachijskim wydawnictwie dtv jest zasłonięta okładką książki, na której widnieje – jego twarz. Znakomity sposób na budowanie marki. Wewnątrz życie codzienne pisarza, nieprzespane noce, gorączkowe sprawdzanie poczty elektronicznej, nieudolne próby promocji siebie, nawiązywania kontaktów biznesowych, nadzieje na kontrakt, sukces, ekranizację, pieniądze. Nikt nie irytuje go tak, jak jego najlepszy przyjaciel Daniel Kehlmann, regularnie, o próżności!, wysyłający lakoniczne esemesy z ilością sprzedanych egzemplarzy swojego bestsellera *Rachuba świata*. Jak napisać taką książkę, jak dorwać nagrodę, jak przebić Kehlmana? Inne nazwiska, synonimy sukcesu, Jonathan Safran Foer, Mario Vargas Llosa, wyznaczają stacje drogi krzyżowej autora. Rozpaczliwe próby zaistnienia w sferze publicznej przeplatają się w książce ze śmiesznie łątaną, groteskową autokreacją, w którą Glavinic chyba sam nie wierzy.

Książka jest naturalnie parodią. Gdyby była na serio, nikt by jej nie wydał. Spodziewamy się demaskacji, ironii i pamfletu, i to właśnie dostajemy. To atrakcyjne strategie. Czyżby Glavinic znalazł boczne wejście za kulisy sławy? Chciałbym wierzyć, że chodzi mu tylko o ośmieszenie Nagrody, ale nie mogę. On chyba faktycznie bardzo jej pragnie, tym bardziej, że zasługuje, ma zdolności, jest oryginalny<sup>1</sup>. Nie on pierwszy stara się budować renomę na wizerunku kontestatora, lecz najśmieszniejsze jest to, że twór medialny, rytualny, instytucja kulturalna i jej narzędzie w jednym, funkcjonujące pod nazwą Niemiecka Nagroda Książkowa, to kupuje. Jego *Das bin doch ich* zostało nominowane w roku 2007. Lewiatan karmi się adwersarzami i pęcznieje od własnej krytyki. Przypominają się mechanizmy promocji popularnych *Igrzysk śmierci*, książki (oraz ekranizacji) krytycznie wymierzonej w serwisy społecznościowe. Ciężar reklamy udźwignęły właśnie serwisy społecznościowe. Powstaje pytanie: gdzie teraz możemy skrytykować medialnego lewiatana, żeby nie poczuł się tym uszczęśliwiony? Gdzie istnieje jeszcze możliwość zdrowej, złośliwej, szkodliwej krytyki? Jeśli Glavinic lepiej sprzedaje swą obrazoburczą książkę dzięki nalepce *Longlist*, neguje własną ideę. Z takimi paradoksami ciągle nie potrafią radzić sobie ni czytelnicy, ni krytycy. Najłatwiej jest mówić o „grze”, „przewrotności”, „niedorzecznym komizmie”, milczeć jednak, gdy książka odrzuca własną referencjalność i staje się, ku uciesze autora i rozpaczy jego biznesowych konkurentów, produktem znieawidzonego literackiego rynku.

Od innej strony, mniej ironicznie, podeszła do sprawy Marlene Streeruwitz. Bohaterka jej powieści *Nachkommen (Potomni)* musi się zmagać z kilkoma problemami. Po pierwsze jest córką swojej matki. Podobnie jak matka pisze powieści, staje

<sup>1</sup> W Polsce znamy go tylko z powieści *Za sprawą nocy* (tłum. A. i J. Burasowie, Warszawa 2008), w której główny i jedyny bohater budzi się na świecie pozbawionym ludzi i przez ponad 300 stron musi poradzić sobie zarówno z irracjonalnością zdarzenia, jak i z fabułą własnej historii.

zatem przed mitem, porcją stereotypów i gotowych sądów, którym musi przyklasnąć lub zginąć w walce o autonomię. Po drugie, zostaje nominowana do Nagrody, jest jednak młoda i niedoświadczona, jej rozumienie pisania i czytania tekstów plasuje się gdzieś w okolicach klasyki weimarskiej, nie ma pojęcia o rynku wydawniczym i rządzących nim procesach ekonomicznych. Jej naiwne („zdroworozsądkowe”) spojrzenie skontrastowane zostaje z tzw. brutalną rzeczywistością, to kolejna wizja Prostaczka w świecie sztuczności, tyle że tym razem Prostaczek nie doprowadza do powszechnego rozprzężenia, śmiechu i karnawału. Bohaterka musi się przyglądać, jak zmienia się ją w produkt i jak sprzedaje się jej książkę. W jej wizji świat literatury jest światem męskich interesów, motywowanych przez zazdrość, pożądanie, władzę i chciwość.

Podobnie jak w przypadku Glavinica jedyną logiczną odpowiedzią przemysłu wydawniczego na krytykę Streeruwitz mogło być nominowanie wrogiej powieści do Nagrody. W roku 2014 znalazła się na *Shortlist*. Nie bez znaczenia jest fakt, że oboje pochodzą z Austrii, co pozwoliło zaszukadkować ich jako typowo naddunajskich, prowincjonalnych kontestatorów. Dla tych rynek literacki ma wygodną niszę od czasów Grillparzera i Nestroya, nie wspominając już o dwudziestowiecznych mistrzach podalpejskiej nienawiści. Glavinic i Streeruwitz zostali wpisani w tradycję Thomasa Bernharda, „martwego giganta”, jak mówiła Jelinek, obok którego sama nie mogła przejść obojętnie. Jednak gdy Bernhard wywoływał skandale, ostre reakcje polityczne, a nawet stawał przed sądem, kontestatorzy XXI wieku mogą co najwyżej przylepić swoim dziełom nalepkę z nazwą odpowiedniej listy nominowanych. Trudno powiedzieć, co dzisiaj mogłoby zaszokować, pokrzyżować plany przemysłu książkowego, uciszyć intelektualne mlaskanie recenzentów. Jeśli kontestacja praw rynku jest już tylko istotną i interesującą postawą rynkową, prawdziwa krytyka mogłaby mieć miejsce jedynie w jakimś nowym „drugim obiegu”, choć wyobraźnia zawodzi, gdy pomyśleć, jak miałby on wyglądać.

Nieprzypadkowo być może te literackie gonitwy do pierścienia (Deutscher Buchpreis, Nobel, Nike) wspólnie z Konkursem Chopinowskim wołają o pomstę w jesiennym czasie anno 2015. Jak wiadomo, każdy z kilkunastu uczestników konkursu jest w stanie na tyle poprawnie zagrać Chopina, że słuchacz bez pogłębionej wiedzy muzycznej diametralnych różnic pomiędzy poszczególnymi wykonaniami nie zauważy. Wątpliwe również, czy zauważy je pomiędzy wykonawcami. Konkurs jest zatem wybitnie niemedialny. Tę wadę można jednak przekuć w cnotę, w końcu na sporcie wyczynowym też nikt się nie zna, ale każdy chętnie się wypowie, nikt nie wie tak naprawdę, jak należy się elegancko wybić z progu i wylądować telemarkiem, każdy jednak będzie w stanie zabieg ten skrytykować przy użyciu fachowej terminologii zasłyszanej w telewizji. Nie dziwi zatem, że wzorem komentatorów sportowych muzykolodzy sięgają do popularnych metafor wojny i wyścigu, piszą o pianistach, którzy „stają w szranki”, o „poziomie zmaganiach” i „sprinterskim tempie” wykonań. Czytając opinie tych obeznanych w temacie, niestety retorycznie ciągle naiwnych melomanów, odnosi się wrażenie, że zadaniem uczestników konkursu

nie jest zagranie na instrumencie klawiszowym, lecz rzucenie nim na odległość tudzież jak najszybsze dopchanie go do końca bieżni. Niepojęte więc, dlaczego mając na uwadze nową wizerunkową propagandę Konkursu Chopinowskiego, żaden z uczestników nie zdecydował się jeszcze na krok bezprecedensowo skandaliczny – oczywiście na miarę czcigodnego wydarzenia – np. połamanie taboretu, zagranie w masce gazowej, albo wykonanie poloneza As-dur w A-dur.

To, co ciągle jeszcze nosi znamiona bluźnierstwa w tzw. muzyce poważnej, dawno sprawdziło się w literaturze wyczynowej, wystarczy spojrzeć na polski krajobraz pisarski, nieporównanie bardziej urozmaicony niż austriacki, pełen osobliwych image'ów i habitusów, prezentacji i reprezentacji medialnych, gdzie multiseksualną szafiarkę Witkowskiego, pragnącego podobno być jak mistyczna Olga Tokarczuk, delikatnie cieniuje Szczepan Twardoch, który dostał za darmo Mercedesa od firmy Mercedes i został pierwszym w historii świata pisarzem polskim łamanym przez człowieka sukcesu, eteryczno-japońska Joanna Bator, klnąca na swą dołę Kaja Malanowska, czy też emerytowana buntowniczką, już nie klnąca na nic Dorota Masłowska, ostatnio znana jako kobieta, a gorzkiej przeciwwagi nadaje tej słodkiej wielkowiejskiej śmietance Andrzej Stasiuk, komfortowo czujący się w narzuconej sobie samemu roli podkarpackiego hodowcy kóz (z czego znany jest nawet czytelnikowi amerykańskiemu, *vide* recenzje jego tłumaczeń). Są to formy skryzalizowane i geograficznie ustalone, dwóch takich samych nie ma prawa być, stąd autora, który zacząłby hodować swoje kozy w promieniu 200 kilometrów od siedziby wydawnictwa Czarne, czeka niewątpliwie posądzenie o epigonizm.

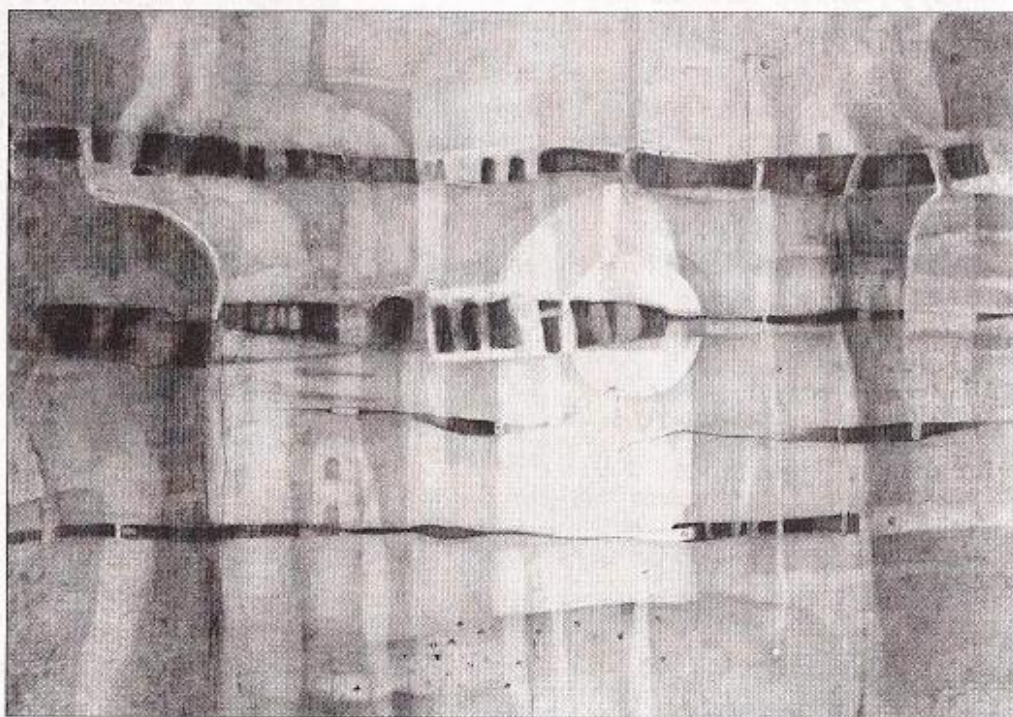
Pisarz austriacki takimi środkami nie walczy. Pisarz austriacki jest nudny, nosi jeansy a do nich marynarkę, ubiera się podobnie, również jeśli jest kobietą, bez względu na płeć często ma okulary, w kieszeni swoją książkę, z której fragmenty prezentuje na licznych spotkaniach autorskich. Wzrok jego, choć bystry, wbity jest w niedosiężne horyzonty rozpięte między *anthropos* a *gravitas*, twierdzi, że nowoczesność go gnębi, a spytany, kogo teraz czyta, podaje nazwisko jednego z luminaarzy tybetańskiego manieryzmu. Pisarz z tego kraju jest podobny do drugiego, może dlatego że ten kraj taki mały, literatów dużo, wszyscy się znają, dom w Alpach ma każdy i głupio pozować z kozami, kultura skanalizowana w systemie nagród, stypendiów i wydawnictw, krytyka zwarta, jednomyślna, zawsze postępową i odważną. Thomas Bernhard był ciekawy, bo miał pole, ciągnik i nikogo się nie bał, niestety już nigdy nie będzie miał okazji znieważać żadnej nagrody<sup>2</sup>. Ingeborg Bachmann była bardzo ciekawa, dawno temu. Elfriede Jelinek byłaby ciekawa, gdyby wychodziła z domu. Peter Handke kiedyś był ciekawy, ale po tym jak zobaczył, że wszyscy chcą być tacy jak on, wyjechał do Francji. Być może Glavinic ma szansę zaciekawić, bo jest duży, łysy i gburowaty, może tędy droga. Ogólnie rzecz biorąc oni wszyscy są nudni i ze sobą nie walczą, toteż gdy już spada na nich ten nieszczęśliwy obowiązek pojechać do Frankfurtu i grać austriackich malkontentów, robią to, i to z najwyższą

<sup>2</sup> Por. Th. Bernhard, *Moje nagrody*, tłum. M. Kędziński, Warszawa 2010.

niechęcią. Jasnym punktem jest Daniel Kehlmann, oczywiście jest nudny i nosi marynarkę, ale jest również pół-Niemcem, pomieszkuje w Stanach, chętnie udziela wywiadów i przyjaźni się z Jonathanem Franzenem, innymi słowy – to kosmopolita, a takich Austriacy zawsze się bali i po cichu podziwiali.

Ten szlachetny brak wyspecjalizowanego *image* wśród pisarzy austriackich to nie deficyt. Jednak bierze jakiś smutek podszyty atawistyczną żądzą zemsty na (tutaj symbolicznym) agresorze, gdy pomyśleć, jak oni mogliby się cudownie bronić przed lewiatanem światowego przemysłu książkowego z siedzibą nad Menem, gdyby mieli odwagę te jadowite laury odrzucić mu w twarz, znieważać i boleśnie zdeprecjonować, miast pisać w domowym zaciszu książki, które do znieprawionej Nagrody zostaną nominowane. To smutne również, ponieważ nigdy nie dowiemy się od kompetentnych krytyków czegoś o ich wartości – one odpowiadają na oczekiwania przemysłu, a nie czytelnika, i jako takie zawsze będą miały zielone światło, trafiają co prawda w pewien nerw, bez przesady jednak – nie doprowadzą do głębokiego szoku, nie przyczynią się do załamania systemu, nadadzą za to niezbędnego dreszczyku nominacjom, posypią je pożądanym pieprzykiem itd. Jedynym pocieszeniem pisarza będzie bardziej uświadomiony czytelnik, teraz bogatszy we wiedzę kulturalową, bystrzej spoglądający na turnieje literackie, na te *reality shows* pięknoduchów, czytelnik smutniejszy i ostrożniejszy, ale ciągle nie taki, który książkę z nalepką *Longlist* czy *Shortlist* w ramach protestu ominie szerokim łukiem. Jest w końcu miłośnikiem literatury i mógłby w ten sposób przeoczyć coś ważnego.

Rafał Pokrywka



Małgorzata Górską, bez tytułu, 2015, technika mieszana.  
Z wystawy *Lustro* inspirowanej opowiadaniem *Samotność* Brunona Schulza.